



Zygmunt Walkowski

część II z III

Sygnatura notacji: **N0055**

Data urodzenia: **07.12.1936 r.**

Data nagrania: **09.11.2021 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 71 min, część III: 21 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zygmunt Walkowski: Bo też byłem w grupie organizującej związek Solidarność na terenie wytwórni. I wtedy już żeśmy byli tak trochę zorganizowani, więc jakiś taki biuletyn żeśmy robili. I kiedyś wracałem trochę zapóźniony gdzieś tam na Mokotowie, przy tym siedzieliśmy, żeby robić, i już było późno, godzina policyjna [milicyjna], i ja się znalazłem na Trasie Łazienkowskiej, przy ulicy Marszałkowskiej. Zupełnie pusto, mam trefny towar, nie wiem, co zrobić, więc na wszelki wypadek, taka betonowa śmieciarka stała tam przy przystanku, więc wrzuciłem to do tej śmieciarki. I nie wiem, czekałem, nie wiem, na co. I w pewnym momencie jedzie śmieciara. Zatrzymuje się, więc ja dobiegam, wyjmuję to i taka konsternacja. I ja się pytam: „Czy panowie jadą w tamtą stronę?”, a oni: „Siadaj pan, śmieciary nikt nie zatrzyma”. I dowieźli mnie do samego domu. Tak że takie spontaniczne sytuacje były, bardzo fajne, które pomagały. I takich sytuacji było dość sporo. I w pewnym momencie była taka sytuacja, że zaczęli mnie nachodzić UB-cy. Nie zapraszano mnie gdzieś tam, nie wiem, zaszczytu doznałem, tylko przychodzili i wtedy dyrektor opuszczał swoje pomieszczenie, mnie tam proszono i były tam różne rozmowy. Nieraz to było, a, tam tego, prawda, jakieś... a nieraz tam burczenie większe. I była sytuacja taka, że w pewnym momencie, to było w 1982 roku, 13 listopada, tak, gdzie na okoliczność trzynastego wyszliśmy przed teren wytwórni, na terenie wytwórni, i co się okazuje, że... Oczywiście nic nie robię, tylko tam, powiedzmy, gadają, więc ja tam chodziłem między ludźmi, no i co się okazuje, że za jakiś czas idą dwie dziewczyny, akurat ja wyszedłem z dyspozycji, idą schodami z jakimś papierkiem, dosłownie zapłakane, i wręczają mi, że ze skutkiem natychmiastowym jest rozwiązanie ze mną umowy o pracę z klauzulą za ciężkie naruszenie obowiązków pracowniczych. No mało miła sytuacja. No i cóż... No to trzeba było po prostu się związać. Miałem tam ileś, nie wiem, godzinę, żeby wypuścić teren wytwórni. No i później było tak, że jakieś kontakty były, i wydaje mi się, że między innymi wstawiennictwo różnych ludzi wpłynęło na to, że w końcu po jakimś czasie zapropo-

nowano mi możliwość przyjęcia do pracy ponownie, z tym że już nie dysponent do spraw produkcji, tylko jest miejsce w inwentaryzacji ciągłej, tam potrzebny jest pomocnik do urzędnika spisowego. Więc ja pamiętam, że wtedy powiedziałem, że jeśli by nawet w ramach moich obowiązków było sprzątnie przed wytwórnią, to proszę mi wierzyć, że w garniturze, w krawacie będę to czynił z całkowitą przyjemnością. Bo prawdopodobnie chodziło o to, żeby upodlić w jakiś sposób. Oczywiście maksymalnie obniżono mi, do 40%, pensję i tak dalej, no te wszystkie skutki... I rzeczywiście było fatalnie wtedy, szczerze mówiąc, to mnie nie bardzo było stać nawet... Ja na gapę jeździłem do pracy, bo nie mogłem miesięcznego sobie... Po prostu to już było za dużo. Ale jeszcze była sytuacja wcześniej, kiedy ja miałem... Zaraz, już nie pamiętam. W Gdańsku było... nie wiem, czy takie zebranie Solidarności, i ja miałem pojechać z robotnikami na to spotkanie do Gdańska. I miałem już w bagażniku kopię filmu, i w pewnym momencie telefon do mnie, dzwoni pani Pec-Ślesicka i mówi: „Zygmunt, co żeś tam... coś tam, tego. Przyjdź, bo tu musisz mi wyjaśnić coś”. No więc idę, a ona mówi: „Słuchaj, Zygmunt, nie jedź. Nie dojedziesz”. Po prostu. Miała jakiś cynk widocznie. No i ja już nie pojechałem w tę podróż do Gdańska, bo mogło się coś zdarzyć, o czym ktoś jej... No bo oni mieli różne możliwości kontaktów i takie rzeczy się zdarzały. Jeszcze była taka sytuacja, że... To było jesienią, tylko nie pamiętam, nie osadzam tego w datach, bo wtedy była produkcja teledysków dla telewizji pod tytułem „Kwiaty polskie”. I sytuacja była taka, że dostałem wiadomość, że „Słuchaj, Zygmunt, musisz się natychmiast wynosić z wytwórni i ekipa za dwie godziny wyjeżdża. Ty jedziesz z nimi, będziesz kasjerem, ma cię nie być tu, na terenie wytwórni”. I proszę sobie wyobrazić. Ja oczywiście czym prędzej do domu, jakiś przyodziewek, coś tam zrobiłem, dziewczyny bez żadnego pokwitowania, bez niczego, w jakiejś walizce czy coś, forszę mi dały i ja pojechałem, nie mając zielonego pojęcia o kasie, o żadnych finansach. I wtedy, pamiętam, właśnie jeździliśmy po Polsce, robiąc te teledyski „Kwiaty polskie”. Tam wtedy i Niemen śpiewał i później były dogrywki z Niemenem na Ursynowie, w szkole rolnictwa. No jest natłok takich sytuacji, ale to jednocześnie fajnie świadczyło, że była jakaś więź między ludźmi, jakaś życzliwość i właśnie ważne było, żeby dobrze się znać. To jakoś dawało szansę w miarę, że tak powiem, nieskaleczonego bycia. No a później jakoś to... Bo tam chyba z miesiąc jeździłem, nawet niektóre malunki to tylko mam... Właśnie, bo ja wziąłem też jeszcze farby ze sobą i tam troszeczkę malunkowałem po drodze. Tak że... Później była sytuacja... aha, właśnie, jak mnie wyrzucono i z powrotem przyjęto do pracy, ale to było dla mnie o tyle korzystne, że ja mogłem swobodnie poruszać się po terenie wytwórni, niejako służbowo. I wtedy nie miałem większych problemów. Chociaż była taka sytuacja... Zaraz, muszę sobie przypomnieć. W pewnym momencie sekretarz partii, ja to mam nawet na takim świstku, napisał, żebym ja to przepisał, że jeśli ja to przepiszę, to będę mógł przejść na dawne stanowisko, inna pensja, prawda, i tak dalej. I tam było, że ja, świadom tam... tego, niewłaściwości postępowania, przyrzekam, że już więcej nie... No jakaś taka lojalka. Myślę sobie, jak tu wybrnąć z tego? I to właśnie na takiej wizycie ubeckiej mi to dali tam, żebym ja to... w gabinecie dyrektora. Ja wpadłem na taki pomysł, tak, zapytałem: „Panowie, czy mamy poważnie traktować siebie na wzajem i tę całą sytuację?”. „No jak to? No panie”. To ja wobec tego poproszę o to, żebym nie zrobił znów, po raz drugi, powiedzmy, błędu, bo ja nie wiem, co ja takiego zrobiłem, bo klauzula jest: „za ciężkie naruszenie obowiązków pracowniczych”. I ja proszę o wyjaśnienie mi tego na piśmie, żebym mógł się ustrzec, bo wtedy okaże się, że jestem niesłowny. Więc proszę... I w ten sposób wyzwoliłem się spod... Wyobrażacie sobie, panowie, teraz, gdybym ja to podpisał i teraz byłoby to gdzieś, no to kto to, ten Zygmunt? Na szczęście przyszło mi do głowy takie rozwiązanie, oczywiście nikt mi tego nie wyjaśnił, i nie musiałem czegoś takiego podpisywać. I mniej więcej po dwóch latach Włodzimierz Reklajtis, jak już mogłem zrobić ruch, prawda, zaproponował mi pracę w archiwum, w wytwórni. Ponieważ znałem dobrze i produkcję, i filmy, i tytuły, i wszystko, więc jako redaktor archiwum. I tam za-

cząłem się wdrażać, pracować. I to była połowa lat... wcześniej, przed połową lat 80. Do wytwórni zgłosił się profesor Jewsiewicki i pan Bagiński z propozycją, żeby na podstawie zrekonstruowanych przez profesora Jewsiewickiego, przez lata pracował nad konstrukcją scenariuszową „Kronik Powstania Warszawskiego”, żeby z ocalałego materiału filmowego zrobić próbę rekonstrukcji „Kronik”. I wtedy zaproponowano mi, żebym się tym zajął. A moje zajęcie miało polegać na tym, że ja miałem przygotować materiał, z tym że miałem dwa lata na to, przygotować materiał, żeby według scenariusza rozpoznać materiał filmowy i zrobić układkę montażową, prawda, nie montaż, tylko układkę. I ja powiedziałem, że tak. I tu czuję absolutną zasadność powiedzenia, że człowiek nieświadomy jest człowiekiem odważnym. Ja nie zdawałem sobie sprawy z tego, w co ja wlałem. Nie mając zielonego pojęcia, przedtem nie widziałem ani razu tego materiału filmowego, a chyba było, jeśli dobrze pamiętam, ponad 6 tysięcy metrów. No i zacząłem oglądać. No to zupełny zamęt zabyt w głowie. Kompletna niewiedza. Znajomość tamtego miasta, które jest właściwie rozwalone, ludzi... No ale w pewnym momencie zauważyłem, że na filmie jest coś, co mi kojarzy się, co wiem, z dzisiejszego czasu. No to był punkt jakiś. I poprosiłem, żeby na moje potrzeby... Aha, z tym że z początku zacząłem sobie robić w zeszycie takie notatki, takie bardzo wstępne, zresztą mam te wszystkie zeszyty. I później okazało się, że nie potrafię ich zlokalizować. To znaczy, żebym wiedział, gdzie ta notatka, dotyczy jakiego fragmentu filmu. I poprosiłem wtedy, żeby wykonano na moją potrzebę dodatkową kopię całości materiału, z naniesieniem stopażu. I wtedy już mogłem daną scenę adresować stopażem, i jeśli coś wiem, to napisać, prawda, czy opisać. I w ten sposób to był jakby pierwszy ślad takiego porządku do opisu tego materiału. Z tym że zaczęto robić w ten sposób... Aha, i zauważyłem w pewnym momencie, że, zaraz, w tym materiale filmowym znajdują się odrzuty „Zakazanych piosenek”. I zacząłem je, że tak powiem, wyczyszczać z tego, i co się okazuje? Ponieważ film „Zakazane piosenki”... Jest taka sekwencja mówiąca o Powstaniu Warszawskim i to znakomity, że tak powiem, reżyserski zabieg, polegający na tym, że kilka ujęć autentycznych z Powstania Warszawskiego zostało użytych w „Zakazanych piosenkach”, przeplatanych zdjęciami fabularnymi. I to jest w strukturze filmu. I co się okazuje? Ponieważ ten film był... „Zakazane piosenki”, w 1947 roku, stąd przypuszczam, że ten materiał musiał dotrzeć do Łodzi i pociętość tego materiału, nie wiem, czy cała, bierze się między innymi stąd, że ten film był montażowo, produkcyjnie, ten materiał filmowy z Powstania, że tak powiem, w użyciu przy montażu „Zakazanych piosenek”. I jakie są konsekwencje? Że do dnia dzisiejszego w różnych fragmentach z okazji Powstania Warszawskiego pokazuje się sceny fabularne jako sceny dokumentalne, a są to fabularne sceny z „Zakazanych piosenek”. Ja nie mogę tego przewalczyć. Tyle mówię, no nie można takich rzeczy. Jest taka charakterystyczna scena, jak dzieci z karabinami zeskakują z murku, taki starszy każe im odstawić broń, daje im butelki z benzyną na czołgi i oni idą z tymi... To jest po prostu czysto polityczna zagrywka spożytkowania, że dzieci wysyłano do walki, to wyraźny fałsz. I dlatego mam taką... pewny... Nie wiem, czy słusznie czy nie, ale mam niezgodę na to, żeby ten pomnik małego powstańca był z bronią. Bo nie było tak. Przestrzegano jednak pewnych zasad. Jeśliby dano mu, nie wiem, torbę łącznika, tak, w porządku. Ale to jest wyraźny fałsz historyczny. No i właśnie między innymi wyczyściłem ten materiał powstańczy z tych sekwencji „Zakazanych piosenek”. Ale w pewnym momencie zobaczyłem też, że są ewidentnie rozsiane ujęcia niemieckie, bo nie mógłby Polak zrobić tych ujęć, prawda, jest rzecz oczywista. Ale były też takie ujęcia, które... mógł to zrobić Niemiec, Polak, nie było żadnych wskazań, że sytuacja była taka, że Polak nie mógł tego robić. I zauważyłem, przez przypadek zatrzymałem na stole montażowym obraz i chciałem się przyjrzeć, powiększyłem, i zauważyłem, że jest zasadnicza różnica w gradacji zdjęć niemieckich i polskich. I w ten sposób udało mi się wyczyścić z kolei ten materiał, wyizolować materiał nakręcony przez AK z materiałem niemieckim. To są takie pierwsze... I to są te moje jakby do-

świadczenia... Oczywiście ja się uczyłem tego, na bieżąco. I później właśnie zacząłem szukać możliwości rozpoznania materiału. Oczywiście chodziłem do Związku Powstańców, do wszystkich archiwów, muzeów, w Archiwach Nowych, wszędzie, żeby zapoznać się z materiałem. I między innymi dzięki tym kontaktom udało mi się zidentyfikować panią Wandę Stawską w ujęciach filmowych. Zaprosiłem ją do wytwórni. Ona mi dopowiedziała pewne rzeczy, których bym się nie dowiedział od nikogo. Tu zaczęły powstawać sytuacje, które bardzo emocjonalnie człowieka wciągały, i były stwarzane sytuacje, w których nie do przewidzenia, że jakiś drobiazg otworzy drogę do rozwiązania jakiejś sytuacji. Wtedy zacząłem zwracać uwagę na pewne detale, szczegóły, kierunki oświetlenia i to wszystko zaczęło wzbogacać jakby moje możliwości czytania fotografii. I tak jak ta scena, którą ja nazwałem „pietą powstańczą”, gdzie ten żołnierz niesie poległego łącznika, udało mi się poprzez te kontakty znaleźć kontakt z kolegą „Orła Białego”, bo się dowiedziałem, że miał pseudonim „Orzeł Biały”, kolegi, który jest zarejestrowany na filmie, materiale filmowym, który wkładał go do grobu z innym kolegą. Udało mi się znaleźć kontakt z księdzem Zybłowskim, który egzekwie prowadził. To zaczęło się rozbudowywać w niesamowite sytuacje. Tu bardzo pomocny był wątek... W pewnym momencie przyszło mi do głowy, żeby nawiązać kontakt z tygodnikiem „Stolica”. Zaproponowałem, że będę im przekazywał kadry filmów, o których chciałem się czegoś dowiedzieć, oni będą reprodukowali je z odniesieniem, odwołaniem do czytelników, żeby coś. I ta rubryka została nazwana „Żołnierze nieznanii?”, ze znakiem zapytania, prowadziła ją pani Franciszka Gryko. Nawiązaliśmy bardzo ścisły kontakt. Słuchajcie, to była kopalnia wiedzy. Następne pole pozyskiwania... nazwanie opisanie tego materiału. I tu dzięki temu właśnie poznałem... W sumie chyba udało mi się około jakieś dziewięćdziesiąt parę nazwisk ustalić w tych różnych poczynaniach i ogromną ilość materiału, która była anonimowa, opisać miejscem, czasem. I to było podstawą do stworzenia montażowej układki, która później..., następnie z profesorem Jewsiewickim i z Bagińskim zrobiliśmy pierwszą, że tak powiem, jakby selekcję montażową, która następnie już poszła do montażystki, która już montowała film. I jeśli chodzi o pracę nad opracowaniem materiału filmowego, to jest właściwie nieskończona opowieść. Tam jest taka moc, masa przypadków niesłychanie i wzruszających, i zaskakująco, że tak powiem, uświadamiających rzeczy, które zupełnie inaczej były postrzegane do tej pory. A, i dzięki pracy nad materiałem filmowym, oczywiście to skutkowało tym, że ja zacząłem się uczyć opisanie tak zwanych zdjęć naziemnych, prawda, innych. I między innymi jest takie jedno zdjęcie, na którym leży ranny powstaniec, otoczony trzema sanitariuszkami, tam jeszcze powstańcy stoją, fragment ulicy i jakiś człowiek opisany, że to jest on. Udało mi się trafić do niego i opowiedział wszystko, ulica Daniłowiczowska numer 5, ten dom w tle. Więc wpadłem na pomysł, żeby... I tu wtedy zrodziła się we mnie, przy opracowaniu tego materiału filmowego, żeby dotrzeć do zdjęć lotniczych, sowieckich zdjęć lotniczych, które były w czerwcu 1945 roku zrobione, i poprzez kanały solidarnościowo-jakieś trafiłem do WIG-u w Alejach Jerozolimskich i tam uzyskałem zdjęcia lotnicze, które, powiedzmy, czy czytając jakieś zeznanie, czy patrząc na kadr... mogłem niemalże materialnie wejść w tamto miasto. I to jest materiał nieprawdopodobnie wzmacniający możliwość rozpoznania, właśnie zdjęcia lotnicze. Ale teraz wracając do tego zdjęcia z tym rannym, ja, właśnie korzystając ze zdjęcia lotniczego, wyrysowałem okolicę ulicy Daniłowiczowskiej, jak on wtedy powiedział, i rozrysowałem jakby tę sytuację, którą widziałem na zdjęciu. Przyłożyłem zrobioną przez siebie tarczę zegara słonecznego i co się okazuje? Że żeby ta sytuacja mogła być zarejestrowana na Daniłowiczowskiej z tym kierunkiem cienia, jaki pada, to słońce musiałoby świecić o północy. No nie bardzo. I co się okazuje? Wtedy zacząłem szukać dobrze. Okazuje się, znalazłem autora zdjęcia, był nim Joachimczyk. A więc nie mógł Joachimczyk robić na Starym Mieście, bo działał tu, prawda. To z kolei zawężyło teren poszukiwania i była to w gruncie rzeczy nie ulica Daniłowiczowska, tylko Chmielna 55. I w związku z tym cień zdemaskował, że to nie

jest ten człowiek. Udało się trafić do środowiska i inaczej opisać ten materiał. Tak że takie jest... Oczywiście każde zdjęcie ma swoją historię, swoją opowieść, która... I mam tego multum. Rzeczywiście są to ciekawe przygody, które opisują rzeczy takie, których żadna faktografia nie odnotowała. Na przykład na zdjęciach lotniczych. Aha, i dzięki temu zainteresowałem się wyjściem poszukiwania zdjęć lotniczych poza Polską. I ponieważ mój szwagier... Mieszkali w okolicach Nowego Jorku i ja nawiązałem kontakt, ale z wiedzy, jaką wtedy miałem... Bo nie miałem absolutnie żadnego pojęcia o tym, że istnieje Archiwum Luftwaffe. Tylko wątkiem wprowadzającym było pytanie, czy są zdjęcia z tej armady amerykańskiej, bo musieli robić na pewno. Czy da się gdzieś to w Stanach odszukać? I ja go tam uruchamiałem, i on, szukając, szukając... Bo nie miałem zielonego pojęcia, że istnieje coś takiego jak Archiwum Narodowe w College Park. I w pewnym momencie on trafił na to archiwum w College Park, i że tam są jakieś zdjęcia lotnicze. I w pewnym momencie ja poprosiłem, żeby jakiś ślad, żeby mi coś pokazano. Tam niechętnie to jakoś było, ale w pewnym momencie przysłał mi, uzyskał, trzy kserokopie, które mam do dzisiaj, które otworzyły mi oczy, że ja szukałem jakby zdjęć amerykańskich, a tu są niemieckie, z Warszawy, o których istnieniu pojęcia zielonego nie miałem. I ja na podstawie tych zdjęć lotniczych zacząłem... A pracowałem już wtedy jako wolontariusz w tworzącym się Muzeum Powstania Warszawskiego, którego biura były na ulicy Koszykowej. Zacząłem chodzić do różnych instytucji, bo nie wiedziałem, gdzie, że... I zacząłem właśnie pleść androny, bo ja nie wiedziałem nic, tylko tytułem wyobraźni, nie wiem, czy instynktu... że są zdjęcia niemieckie, że trzeba dotrzeć do tego, że jest ich ileś tam, nie wiem, ile. I zawsze mnie... że tak powiem, że znalazł się jakiś cwaniaczek, który chce sobie na wycieczkę pojechać, nie wiedząc coś. I ja między innymi... Ponieważ moim zadaniem, jeśli chodzi o Muzeum Powstania Warszawskiego, było... Ponieważ zdobyłem już spore doświadczenie, swoją wiedzę nawet, o istnieniu ikonografii powstaniowej na różnych przestrzeniach. Poznałem i fotografujących, i byłem i u Chojnackiego, i Karpowicza, i... Wiedziałem, co mam... Mam to wszystko pospisywane. Czy „Krisa” Brauna. I ja wtedy jakby... Moim zadaniem było zrobienie programu zasobów ikonograficznych przyszłego muzeum. I właśnie między innymi wpisując te wszystkie pozycje muzealne poszczególnych fotografików czy WIG-owskie fotografie, to wszystko wpisałem i wpisałem wtedy właśnie konieczność dotarcia do College Park, bo już miałem pierwsze sygnały właśnie, że coś tam jest. No i zaczęła się koło tego tworzyć jakaś dobra aura, i miałem jechać na dwa miesiące, później na miesiąc i w efekcie zupełnie bezsensownie ograniczono ten czas do tygodnia, co wydaje mi się, że na taką wyprawę zupełnie jest bez... No ale pojechałem. I proszę sobie wyobrazić, ja dopiero sobie zdałem sprawę... Wsiadając do samolotu, myślałem, że zawału dostanę, bo ja naplotłem tyle andronów, a jadę w ciemno zupełnie. Ja byłem dosłownie sparaliżowany tym, że po prostu tu trochę naoszukiwałem. Ale prosiłem wcześniej mojego szwagra poprzez kontakt, żeby przygotowali mi jakiś materiał, bo jestem krótko, żebym mógł zobaczyć. I proszę sobie wyobrazić, ja docieram do College Park, jest przygotowana jakaś tam partia zdjęć, ale to jest wszystko, co dotyczy powstania w Getcie. Więc ja mówię, że to też, ale że o Powstanie Warszawskie. „No to właśnie jest”. Oni nie wiedzieli, o czym ja mówię. I ja myślałem, że ulecę w zaświaty wtedy, bo nie wiedziałem, jak się dogadać. Nieprawdopodobnie wspomogła mnie wtedy ambasada w Waszyngtonie, pan Bogusław Winid, naprawdę znakomicie. Zresztą Polonia też. I co się okazuje przy rozmowach? Że jest oczywiście materiał filmowy, jest tego około sześciu ton, tylko niech pan poda sygnaturę. A skąd ja wezmę? Przecież nie jest opisany materiał. No i w pewnym momencie pracownik, który się miał mną opiekować, powiedział, że mają takie celuloidy, które jakoś naprowadzą może do sygnatury. I ja zauważyłem, że na tych celuloidach na obrzeżach były charakterystyczne krzyżyki z charakterystycznymi cyferkami, tak jak to się pisze współrzędne geograficzne. One są dość charakterystyczne. I pomyślałem, że zaraz, jeśli coś takiego jest przezroczyste i tu są jakieś kreski, kwadraciki, jakieś linie, czy

mają mapę o tych współrzędnych. Przyniósł mapy, które, podkładając pod to, okazało się, że te kreski deszyfrowały teren, nad którym leciał samolot. I numerki spisywane tu dawały sygnaturę. Trzy dni siedziałem, spisując te sygnaturki, i okazało się, i tu myślałem, że z kolei z radości do niebios uleczę, przynieśli pierwszy materiał i to było to, czego szukam. I w ten sposób można było... jak ja to nazywam, poniekąd jakby złamanie kodu Enigmy, że udało się trafić na ślad, jak docierać, bo ten materiał wtedy nie był opisany. I to były pierwsze ślady, pierwsze dotarcia do materiałów. I naprawdę, ja w żadnym archiwum w Polsce nie miałem tak komfortowych warunków pracy, takiej przyległości, takiej chęci pomocy jak właśnie tam. Ponieważ wyjeżdżając, prosiłem o jakiś sprzęt, czy komputerowy, czy skaner, żeby pojechać, oczywiście nie dano mi, kupiłem tylko swój aparat fotograficzny, i później tam na miejscu już zorganizowano z Polonii, że na dwa dni mógł ktoś ze skanerem i z komputerem przyjechać, ja przygotowałem wszystko i to zostało skanowane, i jakieś około 500 zdjęć udało mi się w tym czasie złapać, opisać, i to wszystko później, po przyjeździe, przekazałem do muzeum. Zresztą ta opowieść, College Park, jest bardzo bogata i czasami przykra, ale w konsekwencji, bo wtedy ja dowiedziałem się, jak jest ogromny zasób... dotknąłem tej materii o nieprawdopodobnie ogromnym znaczeniu dla historii Warszawy i nie tylko. Tam... Ale to już późniejsza wyprawa, tak że może na razie... To w 2003 roku. I w każdym razie ta ogromna radość i zdobycie świadomości, co było ważne, co jest w tym archiwum, było podstawą dalszych badań. W czasie mojego pobytu w Stanach pan Bogusław Winid zorganizował moje spotkanie, chyba w bibliotece ambasady, gdzie ja miałem możliwość zaprezentowania, jak patrzeć na zdjęcia, jak się czyta, po co jestem, pokazałem już niektóre zdjęcia zeskanowane lotnicze i tam było... iluś tam z Polonii przyszło. Oni byli zaszokowani tym wszystkim. Oni: jak to, to my tu jesteśmy, nie wiemy o tym... I że trzeba coś z tym zrobić. I zaproponowano, żebym wybrał jakieś zdjęcia, a później, na drugim spotkaniu, na które zaprosił mnie pan Bogusław Winid, było to doroczne spotkanie senatorów polskiego pochodzenia, tam spotkałem się z senatorami... A to mała dygresja, bo ja poszukiwałem materiału filmowego z Powstania Warszawskiego, który jest gdzieś w Stanach. Ale to o tym jeszcze dalej później. I ci senatorowie tam, jak mnie przedstawiono, później przyszli i powiedzieli, że „Proszę pana, my proponujemy, mamy taką propozycję, żeby pan z tego materiału wybrał, ile pan uważa, zdjęć, bo my chcielibyśmy zrobić na otwarcie muzeum w 2004 roku prezent od Polonii tych zdjęć lotniczych”. A to była jesień 2003 roku. No z tym że żebym mniej więcej określił koszty i tak dalej. Ja po nocach... Ponieważ mieszkałem wtedy: Annapolis i codziennie dwie godziny musiałem dojeżdżać do Waszyngtonu i z powrotem, a jeszcze jak wróciłem... tam siedziałem do oporu, ile tylko można, a tu musiałem siedzieć, opracować ten materiał. Więc opracowywałem jeszcze koszty, cenniki, prawda, i tak dalej. Zrobiłem, że wyliczyłem, że mniej więcej byłby to koszt około 10–12 tysięcy dolarów. Powiedzieli: „Nie ma problemu”. Z tym że... I jeszcze jedną rzecz zaproponowano, że „Proszę pana, my proponujemy, żeby... na wiosnę w 2004 roku przez ośrodki Polonijne od Florydy po Chicago, zorganizujemy panu taki przejazd, na którym będzie pan mógł zaprezentować te swoje opracowania, czytania fotografii, to to będzie jakby zmobilizowanie Polonii na rzecz Muzeum Powstania”. Ja wtedy jeszcze zgłosiłem taki projekt, żeby konsulaty i ambasady stworzyły taki organizm, który by pozyskiwał od Polonii materiały, które oni mają, w jakiś sposób. No i powiedzieli, że oni mi taki przejazd przygotują no i że te zdjęcia przekażą wytwórni. No i pojechałem już do Warszawy, przyjechałem, oczywiście przekazałem zdjęcia na płycie, które wtedy pozyskałem. Udało się wtedy na tym murze już po otwarciu Powstania Warszawskiego zorganizować pierwszą wystawę z tych zdjęć lotniczych, które zresztą zdjęcia gdzieś tu mam, zaprezentowaną... I proszę mi wierzyć, ja byłem wzruszony, jak chodziłem, no z natury rzeczy, byłem ciekaw, jak ludzie podchodzili do tych zdjęć poprzez takie klomby, mówili, pokazywali. To była żywa dyskusja, rozmowa, naprawdę, przy tych zdjęciach. I pierwsze takie zaskoczenie dla mnie to było to, że okazało się, że koszt

wyjazdu jest... ja muszę pokryć wydatek, że cały koszt wyjazdu jest moim zyskiem i ja muszę od tego zapłacić podatek. Ja miałem bardzo obrąbaną emeryturę i proszę mi wierzyć, pożyczałem od znajomych, od rodziny pieniądze, żeby się wypłacić. Mówiłem: „Panie Janku, no jak to, ja wam dałem i jeszcze mam płacić za to? Przecież włożyłem w to”... No tak jest i do widzenia. I modłę się z wdzięcznością, że ten czas... Aha, z tym że pobyt mój ambasada mi troszeczkę przedłużyła, przełożyli moment wylotu, bo tydzień czasu był... Ja tam jeszcze miałem parę swoich groszy uciulanych, żeby przeżyć jakoś, do ponad dwa tygodnie byłem wtedy w Stanach. Ale dla mnie jest to do dzisiaj rzeczą niezrozumiałą. No ale tak się stało. Co jest później? Później, po jakimś czasie, dzwoni do mnie, oczywiście w nocy, to jakieś półtora miesiąca, pan Bogusław Winid... Aha, z tym że ja po przyjeździe zrobiłem całe sprawozdanie, opisałem wszystko i jeszcze tam na miejscu panu w ambasadzie mówiłem, że kontakty oczywiście nie przeze mnie, tylko przekażę to wszystko dyrekcji przyszłego muzeum i żeby te wszystkie rzeczy już ustalać, jak ten ewentualnie mój tam wyjazd do Stanów czy przekazanie tych prezentów, żeby nie było, że tam Walkowski coś tam sobie załatwia. No i dzwoni po jakichś dwóch miesiącach mniej więcej: „Panie Zygmunie, co jest z tymi zdjęciami dla muzeum?”. Ja trochę byłem zaskoczony, powiedziałem, że na drugi dzień pójde na ulicę Koszykową, to zapytam czy coś tam. Poszedłem: „A nie, to my tak”... coś tam, jakiś zamęt. „No to dobrze, to my to ruszymy”. Ja mówię: „Panowie, no zróbcie coś, no bo trochę głupia sytuacja.” „No dobrze”. Co się ukazuje? Po jakimś czasie dzwoni pan Bogusław Winid, już z lekka zirytowany: „Panie Zygmunie, no co, sobie żarty robicie czy coś?”. Mnie jest wstyd, nie wiem, co powiedzieć. Powiedziałem, że nie wiem, pójde, zobaczę, no bo wszystko załatwiłem, proszę mi wierzyć, no. Poszedłem tam, był wtedy pan Kowal jeszcze, panowie powiedzieli, że oni sobie sami z tym poradzą. Ja powiedziałem, że ma do mnie za dwie noce dzwonić pan Winid i jeśli panowie nie uzgodnicie, nie powiecie, że rezygnujecie, to ja to powiem, że jest mi ogromnie przykro, jest mi wstyd, ale niestety nie jesteście tym zainteresowani. No i tak też się stało. Nie rozumiem tego po prostu. Ale później, ponieważ już miałem pewne pojęcie o zasobach tego archiwum, już wiedziałem, jak się do tego dobierać, zacząłem szukać możliwości wyjazdu do Stanów, już z pewną świadomością, żeby spenetrować ten cały zasób. I chodziłem od instytucji, od miasta, wszędzie, dosłownie traktowano mnie jako cwaniaczka, który chce sobie po coś tam pojechać. Nie udało mi się załatwić. Aha, jedyną instytucją, która przy pierwszym wyjeździe... nie, przy drugim wyjeździe, była mi pomocna, to było lotnisko Okęcie, które ufundowało mi przelot w jedną i w drugą stronę. Za to im przywożłem takie zdjęcia lotnicze, o Okęciu i nie tylko, że mają to w swoich zasobach. I przywożłem również zdjęcia z 1939 roku. Jest ogromna ilość zdjęć niemieckich sprawozdawców wojennych. Bo ja nie tylko lotniczymi się interesowałem. To by trzeba było mówić, naprawdę... To jest tak obszerne, tak zasobne zgromadzenie materiałów... Ja przywożłem materiały właśnie niemieckich sprawozdawców wojennych z 1939 roku, natrafiłem później na zdjęcia lotnicze walk o Wilno z 9 lipca, walk o sowiecko-niemieckich, 1941 rok. Oczywiście nie mogłem tego wszystkiego brać, bo później, jak już drugi raz wyjechałem, to miałem już komputer i skaner, ale musiałem się liczyć z zasobnością pojemności tego, nie mogłem wszystkiego brać. Wtedy miałem możliwość na trzy miesiące wyjechania. I otrzymałem... Ponieważ musiałem się przedstawić jakoś w Fundacji Kościuszkowskiej z Nowego Jorku, bo to oni ewentualnie dali mi jakąś szansę, tylko musiałem się uwiarygodnić. No więc musiałem mieć jakieś referencje, a więc dostałem referencje z Muzeum Historycznego Miasta Warszawy, z Muzeum Wojska Polskiego, dostałem od Andrzeja Kunerta, od trzech profesorów, prawda, i ponieważ pracowałem wtedy w Muzeum Powstania, a więc poszedłem do pana dyrektora i mówię, że nadarza się znakomita okazja, że muzeum nie będzie to kosztowało ani centa tym razem, tylko czy mógłbym prosić o referencję na tym... „A co muzeum będzie z tego miało?”. Telefon był gdzieś tam, że dziękuję, do widzenia. Tak że, żeby już taką jakby klamrą to spiąć, w dwa

miesiące po moim powrocie poproszono mnie, żeby opuścić muzeum. I przestałem być pracownikiem. Jestem wolnym strzelcem. Chociaż mam bardzo dobre układy z pracownikami muzeum. Często zwracają się do mnie o jakieś tam rzeczy czy o wyjaśnienia. Nigdy im tego nie żałuję, zawsze to robiłem. Ale tak szczerze mówiąc, nie będę udawał, to trochę przykre. No ale niemniej te zdjęcia lotnicze, które przywiozłem później, przywiozłem ich no sporą ilość. Nie umiem określić, ale może ponad 1 tysiąc, 2 tysiące mam gdzieś. Mam to wszystko spisane. To była praca, wierzcie mi, syzyfowa. Tym razem już mieszkalem w Baltimore, to jest dwie i pół godziny drogi od Waszyngtonu, ja codziennie w jedną i drugą stronę jeździłem, to już wytrenowałem... ponieważ swego czasu troszeczkę rajdowałem samochodami, to wiem, jak się nie dać zasnąć przy samochodzie, to jakoś ratowałem się, żeby w miarę dobrze się poruszać po drogach. I miałem kilka spotkań właśnie wśród Polonii, gdzie prezentowałem... Można było to w znakomity sposób spożytkować na nasze potrzeby, na nasze możliwości pozyskania. Bo ja dotknąłem czubka góry lodowej. Tam jest kilka ton tych zdjęć. I naprawdę obowiązkiem byłoby, ja już mówiłem to od lat, zorganizować ekipę wyposażoną w sprzęt. Już wiemy, że jest. I ten materiał... Mało tego, od 2007 roku ten materiał zaczęto dygitalizować. Właśnie ci pracownicy przychodzili do mnie, patrzyli, co jest w materiale. Ja się z nimi tak zaprzyjaźniłem, że jest to rzecz, której raczej się nie spotyka. Oni mnie wpuścili do tego przeogromnego magazynu, pokazując tam w środku. To jest przestrzeń... Ja miałem wrażenie, że to jest zabudowane halą lotnisko o przeogromnych segregatorach, takich potężnych, przesuwanych. To robi gigantyczne... Jest wyposażone w jakieś ultraświatła, jakieś diabli wiedzą co, żeby ten materiał był znakomicie zachowany. I jeszcze jedna rzecz, właśnie w czasie, kiedy starałem się o to, żeby skorzystać z zaproszenia College Park, Fundacji Kościuszkowskiej... Z tym że są właściwie dwie rzeczy, które wpływają na niekorzystność mojej osoby. Na czym polega to? Na tym, że jednym z warunków podstawowych jest posiadanie magisterium i znajomość języka kraju, do którego się jedzie. Ja nie mam ani jednego, ani drugiego. Ale mimo wszystko, tam na Nowym Świecie jest siedziba fundacji, zaproszono mnie. Wszystko, materiały przeglądają i mówią, że „No, proszę pana, ale podstawowych warunków po prostu pan nie spełnia. Po prostu jak pan pojedzie tam, no to co pan z tego zrozumie?”. Ja wpadłem na pomysł, powiedziałem: „Proszę państwa, ale fotografia na szczęście jest pisana językiem międzynarodowym. A ja po to jadę. To ja sobie poradzę”. I przyznano mi możliwość wyjazdu. Nie miałem tych sęków, które, że tak powiem, właśnie mam bez przerwy tu, na tym terenie. I to mi otworzyło drogę, i tu bardzo dziękuję i jestem wdzięczny im. Zresztą pomogłem im później robić wystawę tam, na swoim terenie. Po prostu rozszerzyli wystawę, która miała mieć jedną salę na ileś tam w końcu, tak że ta współpraca jakoś tam im zaowocowała. No ale później już nie miałem możliwości, już z pełną świadomością. I jeden człowiek to jest bez sensu tam jechać. Bo tam na przykład w dziale fotografii udało mi się odnaleźć zdjęcia z wizyty prezydenta Mościckiego u Branickich w Wilanowie, cała seria. Cała seria... na przykład zdjęcia, właśnie to, co teraz jest takie aktualne, Polacy, uciekinierzy polscy, idący pustynią do Iranu. Mam to wszystko. I naprawdę, jest tyle wątków tematycznych w dziale fotografii, w dziale prasy. Ja sobie porobiłem na tyle, ile mogłem, bo latałem jak małpa po drzewie, żeby to wszystko jakoś objąć. Ale ja dziwię się, że nie ma nikogo, kto by po prostu w sposób świadomy, spokojny, zorganizowany, na potrzeby pro publico po prostu tę sprawę jakoś mógł kontynuować. No tak to jest. No ale żeby nie tylko żale, na przykład znakomita, zaskakująca informacja, która... Chociaż te zdjęcia lotnicze są tak skondensowaną skarbnicą wiedzy, informacji, które zaczynają funkcjonować przy pomocy innych materiałów, one wtedy zaczynają tworzyć pełną przestrzeń, że tak powiem, wiarygodności zdarzeń. No dzięki temu udało mi się przecież bardzo precyzyjnie opisać datę zburzenia Zamku Królewskiego, która do tej pory była zupełnie z nieba wzięta, z chmurki. A to można zrobić. I takich rzeczy jest naprawdę dużo. Właśnie dzięki zdjęciom lotniczym, które nałożone na materiał inny dokumentalny, one wtedy pełnią

jakąs przestrzeń, wypełniają się. Na przykład żadna faktografia nie odnotowuje drobnego niemal, wydawałoby się, faktu, jak Niemcy bronili się przed własnym lotnictwem w czasie powstania, gdzie ich stanowiska niejednokrotnie były w pobliżu linii frontu. Prosta sprawa, na dachach malowali swastyki białe. Powstańcy nie widzieli. A jest to jaka... I jaka ciekawostka jeszcze. Ponieważ te obiekty w pewnym momencie były w zasięgu lotnictwa sowieckiego, żaden z nich uszczerbku nie doznał. Takim przykładem znakomitym jest budynek poczty na Nowogrodzkiej. I takich przykładów jest więcej. Oczywiście może ja przerysowuję w interpretacji, ale to zmusza do jakiegoś myślenia. I takich różnych historii wynikających z konfrontacji zdjęć naziemnych i zdjęć lotniczych jest naprawdę wiele. Dzięki temu, można powiedzieć, udało się ustalić miejsce tej drugiej egzekucji w Górach Szwedzkich, która jest zupełnie zapomniana, a tylko jako pierwsza, wawerska, jest znana, a przecież już 6 stycznia była w Górach Szwedzkich, gdzie dziewięćdziesiąt sześć osób rozstrzelano. I dzięki zdjęciom lotniczym udało się to ustalić, gdzie to jest. Czy ustalenie nieistniejącego i przemielonego, że tak powiem, terenu, ustalenie dworu Józefa Elsnera, gdzie stanął pomnik. Czy Stanisława Norblina. Jest cała masa takich... właśnie upamiętniona już pomnikami. Czy ostatnio na Marymoncie przy Rajszewskiej śmierć trzynastu powstańców, które dzięki opowieściom tych, którzy się uratowali, dzięki zdjęciom lotniczym i innym materiałom, udało się to miejsce ustalić. Stanął pomnik. Tak że to jest materiał ciągle żywy. I jeszcze jedna rzecz, tak cofając nieco. Ponieważ ja, już pracując w muzeum, miałem takie spotkania dla pracowników, dla wolontariuszy, gdzie właśnie opowiadałem im o fotografii, o analizie, jak to jest, nawet w pewnym momencie rozszerzyłem jakby to w ten sposób, żeby może przynieśli jakieś fotografie swoje i już korzystając z doświadczenia, powiedzmy, tego, inaczej spojrzeć na tę przestrzeń. I oni wtedy wystąpili do pana dyrektora o to, żeby zrobić takie warsztaty. Do dziś nie dostali odpowiedzi. No ale to już jest... Tak, tak że no jest... Jeśli chodzi o przypadki opracowań materiałów, to właściwie to wszystko, co mnie tu tak przytacza, to są właśnie wyniki różnych opracowań. Właśnie tak jak wspominałem, odszukanie miejsc, z których były zrobione zdjęcia pogrzebu Kutchery. Jest ogromnie dużo tych przypadków i naprawdę w niektórych, tak jak mówiłem o tym cieniu i zdemaskowaniu tego człowieka, który się podszywał, to takich przypadków jest więcej. I proszę mi wierzyć, że ja, jak rozpracowywałem sprawę burzenia Zamku Królewskiego, to miałem spore przykrości. Bo jak poszedłem do kustosa zamku królewskiego, to on właśnie mnie wyrzucił za drzwi. Ale profesor Gieysztor, ponieważ ja... Tu taka mała dygresja. Właśnie ponieważ posiadałem jakby pewną wiedzę o zasobach archiwalnych, o różnych powstaniowych, i w pewnym momencie, to były lata... koniec 90. lat, no znalazłem się w szpitalu i miałem komfort, bo byłem trzy miesiące, więc wtedy mogłem sobie hulać wyobraźnią. I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, żeby robić... a może by Encyklopedia Powstania Warszawskiego? I zacząłem sobie opracowywać, bo ośmielony byłem tym, że wiem, gdzie co jest, jak do tego podejść, i później, po wyjściu ze szpitala, skontaktowałem się z Andrzejem Kunertem i z różnymi, tego... i zaczął zawiązywać się ten jakby komitet organizacyjny. Ja przejeździłem całą Warszawę, wszystkie gminy, tych prezydentów, wójtów, żeby skaptować ich na zasialanie, żeby mogło powstać coś... No bo żadnych funduszy, niczego, z niczego to się wszystko brało. Od Włoch po gdzieś tam peryferie Warszawy do wszystkich urzędów jeździłem. No i została stworzona grupa tworząca encyklopedię, i w pierwszym etapie, ponieważ... Z tym że założenie było takie, że powstanie komitet naukowy tworzenia Encyklopedii Powstania, i, powiedzmy, osiem lat pracy nad encyklopedią i dwa lata nad wydaniem. Niestety, ponieważ obwarowania różnych pomocy, czy od miasta, czy gdzieś tam, drobnych, które musiały być na bieżące wydatki, obwarowywały na roczne relacje z wydatków. Więc musiało się podejść od razu do realizacji tomu, rozliczenie i następny, prawda. Coś, co w przypadku encyklopedii jest zupełnie niezrozumieniem sprawy. I w pierwszym takim rzucie powstał właśnie ten tom trzeci [czwarty], w którym były szpitale, jeńcy wojenni i tak dalej, to było tak ad hoc

robione, wtedy właśnie ten tom jeszcze przez nuncjusza papieskiego załatwiałem, bo wtedy był pan Świątkowski [Święcicki] chyba prezydentem Warszawy, jakimś pismem zaopatrzył i w prezencie dla papieża został przesłany, do którego ja robiłem etui rzeźbione, żeby to było jakoś ładnie. I później, w następnej kolejności, powstawał tom trzeci, z tym że już on rozrósł się na wolumin pierwszy i drugi, bo zasobność materiału była taka, że jeden by nie połąknął. I właściwie całość opracowań tych ikonograficznych, jeżeli chodzi o warstwę fotografii, to właściwie jest moja robota. Bardzo, bardzo ciekawie to wyływało, bo niejednokrotnie, jadąc kolejno na formowanie następnych dni robienia składu, jadąc, pamiętam, taka sytuacja, gdzie przyjeżdżałem Miedzianą, a miałem zdjęcie, nie wiedziałem, gdzie, i przypadkowo spojrzawszy na fragment domu, który skojarzyłem ze zdjęciem, okazuje się, że znalazłem lokalizację i mogłem wprowadzić poprawkę do opisu, który... No w ten sposób, troszeczkę na wariata, ale no tak to jakoś się wszystko... Nie da się tego uładzić, w taki usystematyzować sposób, tym bardziej po prostu, żeby był ktoś, kto mnie jakoś wspomógł, to mogłoby naprawdę być dużo bardziej korzystne, bardziej, że tak powiem, spełniać swoją rolę, tak jak już powiedziałem, pro publico. No i właściwie to jest... Nie wiem, jestem nieraz zagubiony w ilości wątków i w ilości problemów, spraw, i tego, co chciałbym przekazać, ale też miałem i bardzo miłe sytuacje, nie tylko dokuczliwe. Na przykład... Ale to było przed rokiem 2015. Miałem kilkadziesiąt, chyba około pięćdziesięciu, spotkań w szkołach, zawsze były po dwie godziny lekcyjne. I ja im wtedy opowiadałem, zwykle robiłem tak, że oczywiście na zdjęciach lotniczych wyszukiwałem rejon, gdzie są, żeby opowiedzieć, jak to miejsce wyglądało, i później opowiadałem różne historie o opracowaniach, zadawałem im zagadki, żeby się uruchomili. Nigdy nie było tak, żeby, jak był dzwonek na przerwę... „Proszę pana, czy możemy nie wychodzić na przerwę?” – nigdy nie chcieli wyjść. Z własnej inicjatywy, proszę mi wierzyć. I to były fajne spotkania. Kiedyś w Otwocku miałem takie spotkanie, gdzie, jak przyszedłem do pani... nauczycielka zaprosiła mnie do pokoju nauczycielskiego i mówi, że chciała mnie jakby awansem przeprosić, bo jest to trudna klasa, i że mogą się zdarzyć różne mało miłe rzeczy, że bym w jakiś sposób był uprzedzony o tym. Po skończeniu zaprosiła mnie na kawę i mówi: „Wstyd mi, ale ja ich nie znam”. Tak że takie... I rzeczywiście miałem, tak jak mówię, około pięćdziesięciu, ale później się to wzięło, że tak powiem... No, jakoś nie tak. I tu może też powiem, bo to jest w moim życiorysie chyba dość ważny punkt: opracowanie ekspertyzy KL Warschau, gdzie prokuratura IPN-u zwróciła się do mnie, żeby odpowiedzieć na... przedstawiła sześć pytań i żeby na kanwie tego opowiedzieć. I znów, ja nic nie wiedziałem. Ale człowiek nieświadomy to sobie poradzi. Pracowałem prawie siedem lat nad tym i właściwie uczyłem się na bieżąco tych wszystkich problemów, spraw, chodziłem, jeździłem, pytałem. No i powstała ta moja ekspertyza. I pan Gołębiowicz powiedział, że jak był tyle czasu, to jeszcze nie miał takiej ekspertyzy, że tak powiem, w ramach prokuratorskich w swoich działaniach. I mnie jedno dziwi. To jest rzecz, na której otrzymałem najwięcej przykrości, jakie w życiu mnie zdarzyły. Taka ilość szamba, taka ilość wyzwisk, taka ilość gróźb. Musiałem wymienić drzwi w domu, bo mi powiedziano, że dymek powącham. Musiałem na opancerzone drzwi wymienić. To mnie w życiu nigdy nie spotkało, jak przy tym.

Tomasz Sikorski: Przy pracy dotyczącej KL Warschau?

Zygmunt Walkowski: KL Warschau, tak.

Tomasz Sikorski: A czy mógłby pan to rozwinąć? Jaki mechanizm, co powodowało, że miał pan te przykrości i... Bo chcielibyśmy to zrozumieć.

Zygmunt Walkowski: Więc tak, pierwsza rzecz, jaka była, z natury rzecz, jak w mojej wyobraźni, ale nie tylko, ale i zwyczajowe, jest takie, że jeśli jest jakaś instytucja, która się zwraca o dokonanie jakiejś pracy, jeżeli ona zostanie wykonana, mało tego, zostanie przyjęta i złożyła się na definitywne zakończenie śledztwa jako jeden z ważnych elementów, zakończenie śledztwa w problemie KL Warschau, to miałem wcześniej rozmowy, że oczywiście jak to już zostanie złożone, to będę miał możliwość zaprezentowania tego na terenie Instytutu Pamięci Narodowej na ulicy Marszałkowskiej, no wynik swojej pracy. Do dnia dzisiejszego się coś takiego nie złożyło. Powiedzieli, że nie są zainteresowani, bo zainteresowało się Archiwum Akt Nowych, które zwróciło się do mnie, że chcieliby zrobić taką prezentację. Powiedziałem, że żeby nie była to moja jakaś prywata, to proszę uzgodnić z Instytutem Pamięci Narodowej, bo może jakieś szyki psują czy coś, a później powiedzą, że się szarogęsz. Powiedzieli, że proszę bardzo, możecie sobie robić, że nie są zainteresowani. I była pierwsza prezentacja mojego materiału w Archiwum Akt Nowych. Następnie miałem z inicjatywy Muzeum Powstania Warszawskiego i jeszcze... Chyba pięć miałem możliwości, ale wcześniej było jeszcze ustalone, że w punktach dostępnych Instytutowi Pamięci Narodowej będę miał możliwość, między innymi na ulicy Marszałkowskiej, zapoznawania ludzi z tą wersją zdarzeń. I co się okazuje? Pierwsza rzecz, o której się dowiaduję od znajomych, którzy do mnie z pretensją: „Zygmunt, czemu nic nie mówisz, że masz prelekcję o KL Warschau w Pruszkowie, w Muzeum Dulag?”. Ja mówię: „Ja o niczym nie wiem”. „No jak to? No przecież”... I co się okazuje? Że IPN poza mną zupełnie organizuje spotkanie na temat KL Warschau. Przepraszam bardzo. Ja poszedłem tam, bo nie mogłem nie pójść, ale ja byłem zawstydzony. Naprawdę. Między innymi wykorzystano część moich reprodukcji z moich opracowań, które na zasadzie małego ogrodu szły jako prelekcje, bez żadnego komentarza, niektóre były odwrócone. Zabrałem głos i powiedziałem, że chociażby dla uszanowania powagi sprawy i traktowania z powagą widza trzeba co najmniej coś powiedzieć o tym. Nic. Wobec tego ten człowiek prowadzący tę prelekcję miał mieć następną w Łomiankach, 14 grudnia.

Tomasz Sikorski: Którego roku?

Zygmunt Walkowski: 2007 chyba. Nie, przepraszam, bzdury gadam. Zaraz, zaraz, kiedy... Nie, na razie się za...

Tomasz Sikorski: Orientacyjnie?

Zygmunt Walkowski: No to było w rok po... w tym roku... Bo ja oddałem... Zaraz, sekundę. Oddałem w grudniu, roku... o chorobca. Dwunasty, trzynasty, czter... Gdzieś w tym. I później było właśnie ta... jesienią... A wcześniej miałem mieć uzgadniane właśnie, że miałem mieć te jakieś prezentacje, jakieś tam inne rzeczy, i później była ta w Pruszkowie, i po tym wyszła awantura, były jakieś interwencje, proszę mi wierzyć, ja nie dzwoniłem, i zaproponowano mi, że następne spotkanie, które ten pan miał na temat KL Warschau prowadzić, będzie w Łomiankach, czy ja bym się zgodził. Ja mówię, no przecież ja czekam na to od X czasu. Oczywiście, że tak. I co się okazuje? Na, nie wiem, dwa tygodnie czy tydzień przed tym dociera list pani Miry Modelskiej-Creech do szefa IPN-u, do zastępcy, do senatu, do sejmu, do episkopatu, że niejaki Walkowski opowiada kłamstwa, bzdury i pora skończyć z tym, postawić tamę. I co się okazuje? Na dwa dni przed czternastym, gdzie ja już byłem przygotowany, otrzymuję telefon z IPN-u, że spotkanie jest nieaktualne. Mało tego, zmieniono oczywiście temat spotkania, ale na to spotkanie przyszło towarzystwo to, ja

nazywam, IPN-owskie. I nikt nie przeszkodził, żeby prawie godzinę mieli swój wywód. Jak mam to czytać? I proszę mi wierzyć, ponieważ jestem w komisji nominującej na nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej, w ramach protestu dwa lata temu powiedziałem, że proszę o skreślenie mnie z listy, bo, powiedzmy, czuję, że coś tu niegodnego się dzieje. Zgromadzeni prosili o to, żebym na razie się wstrzymał, że trzeba będzie wyjaśnienie, żebym się zgłosił, żeby ewentualnie podjąć sprawę wydania tego. Byłem z tym wszystkim, zrobiłem wydawnic... wszystko złożyłem. Won. Czekam na następną edycję Kustosza Pamięci Narodowej.